

Interwencjonizm jest nienaukowy

Autor: **Donald J. Boudeaux**

Źródło: aier.org

Tłumaczenie: **Przemysław Rapka**

Jeśli przyjdiesz posłuchać wykładów z podstaw ekonomii, już miesiąc po ich rozpoczęciu dowiesz się, że: wolny rynek działa dobrze, ale tylko w warunkach, które rzadko mają miejsce w rzeczywistości — jest to smutna rzeczywistość, która wymaga interwencji państwa, aby poprawić wiele zawodności rynku.

Prezentowana przy tym powierzchowna naukowość sprawia imponujące wrażenie. Na tablicach rysowane są krzywe, które ilustrują różnicę między prywatnym krańcowym kosztem a społecznym kosztem krańcowym, pomiędzy prywatną korzyścią krańcową a społeczną korzyścią krańcową i wynikającą z tego zawodność rynku, który nie wytwarza społecznie optymalnych ilości produktów oraz nie nadaje tym produktom społecznie optymalnych cen.

Patrząc na te krzywe — czy też, jeśli są to zajęcia z ekonomii matematycznej, badając równania — odkrywamy, jakie działania pomocowe muszą być podjęte, jeśli chcemy zoptymalizować dobrobyt społeczny. Przesuńmy tę krzywą w górę, albo tamtą w dół — czy też zmieńmy w równaniu ten czy inny współczynnik — i *voilà!* Społeczeństwo zostało optymalnie nastrojone z pomocą Naukowej Ekonomii.

To wszystko wydaje się być obiektywne i wolne od ideologii. W końcu wszystko mamy rozrysowane na wykresie, czarno na białym: prywatny koszt krańcowy funkcjonowania rafinerii paliw jest niższy niż społeczny koszt krańcowy jej funkcjonowania. Jedyne libertariański ideolog sprzeciwiłby się wykorzystaniu interwencji rządowej do zrównania prywatnego kosztu krańcowego ze społecznym kosztem krańcowym. Ten libertarianin uparcie próbuje postawić swoją ideologię ponad dobro publiczne, ponieważ, jak jasno wynika z wykresów i równań, zrównanie prywatnego kosztu krańcowego ze społecznym kosztem krańcowym zapewnia korzyści społeczne netto. Tego typu inżynieria to tzw. [kryterium efektywności Kaldora-Hicksa-Scitovsky'ego](#) (posługiwanie się terminem naukowym, który nie-specjaliści muszą wygooglować jest imponujące).

Oto naukowy fakt: zjawiska gospodarcze są skomplikowane i często nieobserwowalne

Jednak rzeczywistość jest taka, że ten rzekomy argument za interwencją nie jest aż tak naukowy, jak powszechnie się uważa, szczególnie wśród ekonomistów.

Krzywe i równania często są użytecznymi narzędziami, pomagającymi nam uporządkować badania gospodarki. Jednak te krzywe i równania rzadko przydają się ekonomistom do zbierania danych. Chociaż Jones faktycznie ponosi dodatkowy koszt zwiększenia wielkości produkcji swojej fabryki, to te koszty nie są obserwowalne przez osoby zewnętrzne. Koszty Jonesa nie są też takie same, jak Smitha, który zwiększa wielkość produkcji o tyle samo co Jones.

Również *społeczny koszt krańcowy* tych fabryk nie jest obserwowalny. Fabryki w mieście mogą faktycznie zanieczyszczać powietrze, którym oddychamy ja i moi sąsiedzi. Jednak proponuję każdemu, by obiektywnie wyliczył koszt, jaki każdy z nas ponosi na skutek zwiększenia produkcji fabryki o 1% — potem zwiększenia o 2% — potem zwiększenia o 3% (...), a potem zsumować te koszty, aby wyliczyć obiektywny rozkład społecznych kosztów krańcowych.

Tego nie da się zrobić, ale da się udawać, że się to robi. Uczciwy badacz co najwyżej może oszacować — w nieunikniony sposób opierając się na własnych subiektywnych ocenach — koszty, jakie indywidualnie ponosimy ja oraz moi sąsiedzi. Skąd jednak badacz może znać moją stopę dyskonta — czy też okres czasu ekspozycji na zanieczyszczenia z fabryki, który uważam za istotny? Nie może. Nie może się tego dowiedzieć. I tak, jak nie może poznać mojej stopy dyskonta, tak nie może precyzyjnie określić stopnia negatywnego oddziaływania emisji fabryki na mój obecny dobrobyt.

Ten badacz — zakładając, że trzyma się najbliżej jak to możliwe reguł badawczych nauk ekonomicznych — wie, że preferencje, tolerancja ryzyka i stopy dyskonta wszystkich jednostek, na które wpływa fabryka różnią się między sobą. Dlatego naukowe wyliczenie „społecznego kosztu krańcowego” wymaga od badacza nie tylko zdobycia niemożliwych do zebrania informacji o mnie; musi również zebrać niemożliwe do zgromadzenia dane o innych jednostkach, których poziom życia może, ale nie musi, zmienić się z powodu funkcjonowania fabryki.

Nawet w przypadku, gdy zignorujemy fakt, że preferencje, tolerancja ryzyka i stopy dyskonta mogą i zmieniają się w nieprzewidywalny sposób, to zadanie badacza jest niewykonalne.

Ta niemożliwość zebrania danych nie jest małą niedogodnością. Jeśli badacz przeszacuje koszt społeczny wynikający z produkcji zanieczyszczeń przez

fabrykę, wtedy — wspólnie z rządem — nakłada dodatkowy „społeczny” koszt na ludzi. Przymusza fabrykę do zredukowania produkcji poniżej podręcznikowego optimum. Koszt społeczny, wynikający z suboptymalnej wielkości produkcji, może być równie duży, a nawet większy niż koszt społeczny wynikający z przyzwolenia fabryce na funkcjonowanie, bez ingerencji ze strony rządu, próbującego „zinternalizować” koszty społeczne emisji zanieczyszczeń.

Pozory naukowości

W tym miejscu ekonomiści głównego nurtu będą się bronić. Nie negują (bo jak mogliby?!) technicznego problemu niemożliwości zdobycia dokładnych informacji o krańcowym koszcie społecznym. Jednak uważają, że ten wyidealizowany standard jest niepraktyczny. „Możemy oszacować różnicę między kosztem prywatnym a społecznym z wystarczającą dokładnością”, zapewniają nas ekonomiści głównego nurtu, „po czym rząd może podejmować decyzje w oparciu o te szacunki. Lepsze takie działania, niż żadne”.

Chociaż to prawda, że zapatrzenie w ideał nie powinno nas zamykać na dobre rozwiązania, to z podejściem ekonomistów głównego nurtu są przynajmniej dwa problemy — problemy, które są przestrogą przed uznaniem krytykowanej tutaj teorii za rzetelny kierunkowskaz dla działań rządowych.

Po pierwsze, jak wyjaśniłem powyżej, nie ma powodu, by uważać, że szacunki kosztu społecznego, wyliczone nawet przez dobrodusznych i błyskotliwych biurokratów, będą wystarczająco precyzyjne, aby zaufać, że rządowa interwencja mająca skorygować zawodność rynku, zwiększy dobrobyt społeczny. To założenie, że biurokraci na ogół będą wystarczająco precyzyjni, nie jest oparte na nauce; jest po prostu założeniem — czy też raczej nadzieją.

Po drugie, nie ma powodu, by twierdzić, że biurokraci w rzeczywistości są pod wpływem bodźców, które skłaniają ich do zachowania się, jak ich podręcznikowi odpowiednicy. Argument za wykorzystaniem rządowej interwencji w celu skorygowania rzekomej zawodności rynku jest oparty na przekonaniu, że działania mające na celu własną korzyść prywatnych podmiotów skutkuje dążeniem do uzyskania prywatnych korzyści kosztem dobrobytu społeczności. Jednak jeśli założymy, że ludzie dbają przede wszystkim o własny interes, to musimy przyjąć to samo założenie w odniesieniu do ludzi będących częścią sektora publicznego.

A jednak pomimo ostrzeżeń ze strony ekonomistów szkoły wyboru publicznego, głoszonych od ponad 50 lat, ekonomiści głównego nurtu wciąż

zakładają bez większego zastanowienia, że biurokraci postępują w fundamentalnie inny sposób, niż gdyby byli częścią sektora prywatnego: zakłada się, że osoby w sektorze prywatnym kierują się swoim własnym interesem, a biurokraci kierują się dobrem wspólnym.

Jednak co mogłoby być bardziej *nienaukowego*, niż to założenie o zupełnie odrębnych motywacjach? To założenie nie jest uzasadnione ani naukowo, ani przez zdrowy rozsądek, a jest koniecznym elementem „naukowego” argumentu za interwencją rządową, która ma skorygować zawodność rynku.

Nie twierdzą, że rynek jest doskonały (oczywiście, że nie jest). Nie twierdzą też, że wszechwiedzące i dobre bóstwo nie mogłoby interweniować w rynek i poprawić jego funkcjonowania (tak wspaniała istota z pewnością mogłaby). Twierdzą, że ponieważ ekonomiści doradzają biurokratom, a nie bogom, to ekonomiczny argument za korygowaniem zawodności rynku jest naukowy jedynie w bardzo wąskim znaczeniu. W rzeczywistości jest to głównie przesąd.